ILUSTROWANY GŁOS NARODU

z dnia 28. Września 1902 r.

Żywy nieboszczyk.

(KARTKA Z DZIEJÓW MAGII.)

Na polu czernieje dół który formą swą wielce grób przypomina...

Bo też w samej rzeczy jest to grób, czekający na nieboszczyka. Nieboszczyk atoli chodzi jeszcze żywy, wesół, uśmiechnięty, rozmawia to z tym, to z owym, jednych ściska za rękę, drugim szepnie jakiś żart ucieszny, choć obok wykopany grób, spogląda ku niemu ponuro swą czeluścią, szeroko rozwartą.

Po chwili atoli żywy nieboszczyk odzywa się do swoich towarzyszów:

— Panowie, sądzę, że chwila odpowiednia już nadeszła. Żegnam was, za trzy dni się zobaczymy.

I wymówiwszy te słowa, otwiera szkatułkę, trzymaną pod pachą, wyjmuje z niej jakąś maść, zatyka nią sobie nozdrza i otwory uszne; przyjaciele owijają go w prześcieradła, spuszczają na dno grobu, ostrożnie i z lekka początkowo, przysypują ziemią, aż wreszcie grób znika, grudy zasypane równają się z krawędzią grobu i tylko ślady nieznaczne wskazują, że poruszono tu ziemię.

Orszak odchodzi, zostawiwszy dwóch z pomiędzy straży, dwóch których za dwie godziny zluzuje dwóch następnych.

Po trzech dniach i nocach orszak znowu powraca, zaopatrzony w rydle.

Na dany znak, kilku mężczyzn przystępuje z możliwymi ostrożnościami do odkopania grobu; po paru minutach okazują się białe zbrukane piaskiem, oraz gliną prześcieradła, jeszcze chwila jedna i druga... wreszcie ukazuje się żywy nieboszczyk.

W Indjach Wschodnich istnieje liczna kasta ludzi, która takie cudowne, na razie niewyjaśnione sztuki produkuje z powodzeniem niesłychanem ku ogólnemu zdumieniu widzów.

Tą kastą są ludzie fakirzy.

Jak wygląda fakir?

Jestto mężczyzna wzrostu wysokiego, chudy, wyschły raczej barwy bronzowej, wygląda niby mumia. Nie nosi żadnego odzienia, jest więc zupełnie nagi, z wyjątkiem małej szmatki przepasanej u dołu brzucha.

Fakirzy należą do niższych stopni kasty kapłańskiej; bramini, czyli kapłani wyższego rzędu używają ich za narzędzie celem działania na wyobraźnię tłumów, zwiedzających świątynie.

Każdy fakir nosi laskę bambusową o siedmiu kolankach; owa laska jest znakiem „wtajemniczenia."

Że posiadają oni jakąś dziwną siłę psychiczną, dowodem najlepszym oczy, płonące jakimś ogniem dziwnym, a posępnym, oczy mogące nawet najbardziej rozszalałych z gniewu gwałtowników odrazu przykuć do ziemi.

Te oczy, według jednogłośnego zdania podróżników europejskich, poprostu hypnotyzują widzów, zwłaszcza tych, którzy po raz pierwszy dopiero w życiu mają do czynienia z fakirami.

Jest to kasta silnie i ściśle zorganizowana, trzymająca się sumiennie odwiecznych przepisów, od których im nie wolno odstępować.

Kilka z nich przytoczymy poniżej dlatego, że możliwie najlepiej charakteryzują one postępowanie, tudzież metodę doświadczeń, przyjętą przez fakirów.



HELENA MODRZEJEWSKA.

I tak nie wolno im nigdy urządzać posiedzeń publicznych, gdzie obecność kilkuset osób umożliwiłaby wszelką kontrolę ściślejszą.

Nie wolno im mieć przy sobie żadnych towarzyszy, by ich nie posądzano, że posługują się wspólnikami. Nie używają też skutkiem zakazu z góry żadnych kubków, ani czarodziejskich woreczków, ani skrzynek o dnie podwójnym, ani tysiąca innych przdmiotów, bez których się nie mogą obejść magicy europejscy.

Sztuki swe wykonują, wedle życzenia osób, do których przychodzą, siedząc lub stojąc na macie trzcinowej w salonie, na posadzce marmurowej, granitowej lub gipsowej, na werandzie, lub wreszcie na gołej ziemi w ogrodzie.

Jeżeli zaś potrzebują jakiegoś przedmiotu, narzędzia muzycznego, laski, papieru, ołówka, biorą go zawsze od gospodarza domu.

Tutaj też jeszcze raz podkreślić należy, że oprócz owego kawałka płótna, laseczki z młodego bambusu o siedmiu kolankach, grubości zwykłej obsadki do pióra i małej świstawki około trzech cali długości, którą zawieszają na kosmyku swych włosów, inaczej bowiem w braku kieszeni i ubrania, musieliby ją wciąż trzymać w palcach — otóż prócz tych przedmiotów nie mają przy sobie niczego więcej, co znakomicie ułatwia kontrolę.

Dla fakirów indyjskich eksperymenty t. zw. żywych nieboszczyków nie są ani nowością ani rzeczą trudną.

Po odpowiedniem przygotowaniu, po zatkaniu nozdrzy, oraz uszów maścią, do wosku podobną, po podwiązaniu języka fakir kładzie się śmiało do grobu, gdzie spoczywa nie dni już kilka, ale miesiące całe.

Na grobie takiego żywego nieboszczyka zasiewa się zboże (sposób kontroli); to zboże wschodzi, dojrzewa potem je ścinają; rżysko jeszcze dni kilka pozostaje, by każdy mógł się mu dokładnie przyjrzeć, i dopiero wtedy przystępuje się do odkopania grobu.

Fakir po rozwinięciu powijaków któremi był ściśle skrępowany, leży jak nieżywy! gdy przecież towarzysze wyjmą owe gałki, tamujące oddech i wleją do gardła parę kropel tajemniczego eliksiru, fakir wstaje, zdrów, oraz rzeźki, jak gdyby nie w grobie leżał, ale wyspał się smacznie w puchowej pościeli.

Wobec jednak innych jeszcze eksperymentów, dokonywanych przez fakirów, owe spoczywanie w grobie wydaje się drobnostką.

I tak, umieją oni wpływać na wzrost roślin i tak ów wzrost przyspieszać, iż w przeciągu kilku godzin roślina przychodzi do stanu, który w warunkach zwykłych wymagałby całych miesięcy, albo i lat uprawy.

Znany uczony Jacolliot, zupełnie zasługujący na wiarę wtedy, gdy o fakirach opowiada, ponieważ przez lat kilka służył w Indjach francuskich jako sędzia trybunału w Pondichery, opowiada o podobnych doświadczeniach, wykonywanych przez słynnego fakira Cowindasamy.

Jacolliot sam wybrał wazon i nasienie, ziemię zaś kazał według zlecenia fakira przynieść służącemu z gniazda owadów Carias i rozetrzeć

ją na pył pomiędzy dwoma kamieniami. — Następnie sam już fakir rozrobił ową ziemię odrobiną wody, szepcząc jakieś zaklęcia, ale tych już Jacolliot nie mógł dosłyszeć.

Potem zażądał nasienia, które Jacolliot sam własnoręcznie wybrał, oraz kilku łokci jakiejbądź, ale koniecznie białej tkaniny.

Na to wezwanie Jacolliot wybrał nasienie z gatunku arbuza, za przyzwoleniem fakira naznaczył je z pomocą lekkiego nacięcia; potem podał mu kilkometrowy kawałek gazy muszlinowej.

— Zaraz zasnę snem duchów — rzekł Cowindasamy — przysięgnij mi, że się nie dotkniesz ani mnie ani wazona.

Jacolliot przyrzekł.

Wówczas Cowindasamy zasadził nasienie w ziemię którą rozrobił na błoto niemal płynne, następnie wetknął swą laseczkę bambusową i zawiesił gazę w taki sposób, by zakrywała ziemię.

Wreszcie przysiadł na kolanach, obie ręce nad wazonem w kierunku poziomym wyciągnął i powoli zapadł w stan zupełnej katalepsji.

Jacolliot nie spuszczał go z oczu, przyznać zaś równocześnie musiał, iż fakir zapadł istotnie w jakiś stan niezwykły, żaden bowiem człowiek normalny nie zdołałby przy największej nawet sile choćby tylko przez 20 minut trzymać ręce poziomo przed sobą, a tu tymczasem fakir godzinę całą pozostawał już w owej pozycji

Ani drgnieniem jednem nie przejawiło się w fakirze życie.

Cały prawie nagi, z ciałem błyszczącem, oraz opalonem od słońca, z oczyma otwartemi i utkwionemi w jeden punkt, przypominał wybornie owe statuy z bronzu, przedstawiające uniesienie mistyczne.

Nawet już Jacolliot spokojnie nie mógł wysiedzieć.

Przygasły fakir wywierał na niego wpływ dziwnie magnetyczny. Była chwila, iż Jacolliot dostawał halucynacji, że wszystko w około niego wiruje a nawet sam fakir zawodzi jakiś taniec piekielny i szalony.

Dopiero przejście na taras uwolniło go od tego złudzenia; podczas tego przecież nie tracił on fakira z oczu ani na chwilę jedną.

Dopiero po upływie dwóch godzin, dało się słyszeć lekkie westchnienie i fakir odzyskał przytomność.

Jeszcze chwila, a fakir dał znać Jacolliotowi, by się przybliżył. Wówczas podniósł gazę, okrywającą wazon, a Jacolliot ujrzał świeżą i zieloną łodyżkę, na 20 centymetrów.

Ponieważ zaś Cowindasamy chciał przekonać Jacolliota, że owa łodyga wyrosła z danego mu nasienia, włożył palce w ziemię, która już przez ten czas niemal zupełnie wyschła i wyjąwszy ostrożnie roślinkę, pokazał owo nacięcie, zrobione przed dwoma godzinami na jednej z dwóch łupinek, jeszcze przylegających do korzenia.

Jacolliot się zdumiał, co mocno ucieszyło fakira, który po chwili dodał z uczuciem źle ukrywanej dumy:

Gdybym jeszcze dłużej zaklinał, w ośm dni arbuz zakwitłby, a w piętnaście wydał owoc.

I mimowoli nasuwa się uwaga, jak przepysznym nabytkiem byłoby zastosowanie wynalazku fakirów na wielką skalę; człowiek w zimie dzięki zaklęciom miałby choćby codziennie tanim kosztem świeże poziomki, a gdyby się mu ten świat na chwilę znudził, kładł by się z zatkniętemi uszami oraz nosem do grobu i wstawał dopiero po latach stu niby ów John West z opowieści Bellamy'ego lub z innego romansu fantastycznego, których się tyle w ostatnich latach kilku namnożyło.

W. W.

BAJKA JAKO MYT.

Myśl nasza dźwiga brzemię zmysłowego świata, wije się niejako w labiryncie komplikacji, które tworzy życie. Niestrudzona pożądliwość rozumu, szuka równowagi wśród sprzeczności hypotez i znajduje wreszcie w filozofji tę harmonję sił i spokój czasowy, sprowadziwszy do całokształtu jedności serję rzutów rozumowych.

Rzuty te składają się w systemata filozoficzne, organizmy czysto duchowej natury, alias sfery stosunków (des rapports). Coś w rodzaju tego, czem są formuły matematyczne, zrównania, wobec pospolitych cyfr. Systemata filozoficzne są zatem rodzajem organizmów, zbudowanych według praw analogicznych utworów ze świata konkretnego, według pewnej symetrji, logiki form, będącej wrodzoną potrzebą naszego umysłu; może koniecznością wypływającą z kształtu naszego mózgu. Motorem tej akcji twórczej jest intuicja, której natury, tem czem jest sama w sobie, owego jej: „an sich an", nieznamy. Jestto siła ukryta w jestestwie naszem, znana nam tylko ze swych objawów. Szereg objawów tej siły (w czasie i przestrzeni) tworzy łańcuch nieprzerwany obrazów, kryształów myśli, że tak powiem, które rosną, rozwijają się siłą, czy to aglomeracji, czy pod wpływem kataklizmów duchowych, albo roztwarzają się na ciała amorficzne, na to: ażeby znowu powstać jako utwory nowe tej siły intuicyjnej, przyczem nie zmieniają swej natury rdzennej. Szereg taki umysłowych atomów myśli ludzkiej tworzy niejako linję równoległą do zjawisk świata materji, a obie te linje: ideał i materja, łączą się z sobą w pewnym punkcie w nieskończoności; punkt ten zwiemy Prawdą.

Pozatem już nic niema, coby najdalej sięgający wzrok rozumu ludzkiego mógł dostrzedz — dalej sięga tylko wiara i widzi: Boga!

Do tej Prawdy nie dojdziemy w czasie skończonym, ale etapy, które myśl ludzka odbywa na systemach filozoficznych od Talesa i Sokratesa, aż do czasów obecnych, są koniecznymi wypoczynkami dla myśli ludzkiej w niestrudzonym pochodzie ku Prawdzie bezwzględnej.

* * *

Zaznaczyłem te kilka poglądów z dziedziny świata subjektywnego, jako przygotowanie terenu, ramy, dla innej sfery działalności umysłowej: sfery piękna i formy w sztuce.

Jak w filozofji i nauce szukamy prawdy, oczyszczając pojęcia nasze od tego co jest złudzeniem, tak tu, w dziedzinie piękna, bierzemy ze świata rzeczywistości tylko formy. Sztuka, pozbywszy się balastu dążeń do wszechstronnego objęcia zjawisk konkretnych, bierze tylko stronę formalną — widma — a nie rzeczywistości. Wolna od więzów materjalnych, tworzy sobie świat odrębny, świat złudzeń, świat bajki.

Poezja.

Poezja odtwarza obrazy z życia potocznego, epizody historyczne, wreszcie świat nieegzystujący dla nas, jak: Olymp, piekło dantejskie, lub Göthego: bajka Fausta. Żyjemy tam imaginacją w sferach, czasach i miejscowościach, ktore nie są w obrębie bezpośredniego odczuwania naszych zmysłów. Suggestją znaków konwencjonalnych: słowem i pismem, poeta wywołuje widmo pulsujące życiem, tak, że żyjemy myślą w tym świecie odtworzonym. Złudzone zmysły nasze odczuwają w całej pełni te zjawiska świata fikcyjnego. Dzielimy radość i bóle, zmyślone przez poetę; grozę, rozpacz, upojenia miłosne, płacz i śmiech; odczuwamy światło słoneczne i wichry; woń kwiatów i lubieżny powiew zefiru, które talent artysty nam uplastycznia. Działają one na nas z intenzywnością proporcjonalną do kunsztu bajacza poety. Jeżeli przytem ten poeta mową rytmiczną rozkołysze całą potęgę naszej wrażliwości, to wprowadza nas w stan egzaltacji, podniesienia duchowego i sami stajemy się niejako twórcami nowych światów wyobraźni, które rodzi każde słowo poety, dźwięczące mową wiązaną.

Świat ten nowy, wytwór spotęgowanej wrażliwości umysłowej, nie czuje już więzów materji widma, uległe woli poety i kaprysom jego imaginacji, a oczyszczone z powszedniości, wytwarzają świat wytworny, świat Piękna. Świat ten jest tym odpoczynkiem dla ducha ludzkiego po walce nieustannej z całym kompleksem amorficznej natury. Uniesieni na skrzydłach poezji, przebywamy na chwilę w stanie idealnej, jakby równowagi siły odśrodkowej i ciążenia do planety. Jestto sen, a kiedy się z niego budzimy, czas jakiś jeszcze pieścimy w myśli znikające cienie, wdzięczni poecie za chwilę rozkoszy. Zbrodnie i cnoty, ból i radość, rozpacz i miłość, w tym świecie ułudy, zjawiają się jako: cienie i światła, jako środki do wywoływania wrażeń intenzywnych. Ta umiejętność ugrupowania przeciwstawień i barw, dostrojenia form według pewnych praw symetrji i harmonji, jest tem, co nazywamy techniką artystyczną. Jeszcze w kolebce krytyki estetycznej, sofista Gorgias wprowadza złudzenie jako podstawę poetyckiej kreacji, zbijając twierdzenie Platona o ujemnej stronie tragedji, jako opartej na kłamstwie: „Jestto złudzenie, powiada, które tych co mu się poddają czyni mędrszymi od tych, co mu są oporni". Tyle o poezji

Malarstwo.

Złudzenie jest wspólnym mianownikiem wszelkich gałęzi sztuk pięknych, zwanych przez Sokratesa i Platona: nieużytecznemi, a przez filozofów naszej ery, Kanta między innymi: „bezinteresownemi".

Przejdźmy do malarstwa. Płótno, na którem malarz przedstawił postać ludzką, portret, dajmy nato, sprawia nam złudzenie oglądania znanej osoby i rodzi do pewnego stopnia te same wrażenia, których doznajemy wobec żyjącej osoby. Jeżeli artysta chwycił szczęśliwy moment wyrazu twarzy i postawy, uwydatnił powaby, to portret taki będzie się więcej podobać, jak ścisła kopja powszedniej natury. Jeżeli zaś, nie wychodząc z granic podobieństwa, malarz nadał przedstawionej w portrecie osobie cechy wzięte z okazów doskonalszych rodzaju ludzkiego, czyli idealizował, to stworzył dzieło piękne. Może to być np. portret Filipa IV Velasqueza, Venus Tycyana, Madonna Rafaela, Murilla, del Sarto, lub późniejsi mistrze, których dzieła są kwintessencją czystości linij i harmonji barw. Obrazy takie przenoszą nas w dziedzinę wrażeń wyszukanych, rodzą uczucie podziwu, miłości, a w obrazach religijnej treści, rozbudzają wiarę pobożnych. Apollo belwederski, myt, który nigdy nieegzystował w rzeczywistości, sprawia nam złudzenie istoty prawdziwej, dziwnie kształtnej; dla Greków był bogiem, obywatelem Olympu i zostanie na wieki ideałem pięknych form młodzieńczych męskiej budowy ciała.

Rzeźba.

W rzeźbie, głazy i brązy łudzą nas formą ciała ludzkiego. Nawet kolor staje się tu zbytecznym dla wywołania plastyki, bo zmysł dotykania odczuwa tu formę w całej pełni. Siłą selekcji forma wybija się tu z powszedniości, szukając doskonałej linji, rytmu reliefów i ich harmonji. I tu intuicja jest jedynym przewodnikiem w zestawieniu proporcji ciała, według praw piękna, wrodzonych naturze ludzkiej, doskonalących się z biegiem wieków.

Muzyka.

Jeżeli w malarstwie i rzeźbie, technika artystyczna posługuje się w części etyką, tematami, religijnymi i historycznymi, które często głuszą względy czysto plastyczne, to muzyka przemawia wprost do duszy rytmem bez słów i wibracją tonów. Zadaniem muzyki jest wywołanie tego nastroju, który kompozytor chce wlać do duszy słuchaczy. I tu złudzenie jest środkiem niezbędnym. Muzyk budzi dźwięki, które przez organ słuchowy przenikają do organizmu naszego, do tej duszy, co jak arfa eolska, echem odpowiada na pokrewne tony, mniej lub więcej czuła na odcienia modulacji i akordów. Bicie serca i fale krwi cyrkulującej, kryją w sobie zagadkę rytmu. Głos ludzki, drgania struny, drzewa, muzycznego instrumentu lub metalu, rytmiczne, prędsze lub powolniejsze, odpowiadają pewnym momentom psychicznym i tworzą w duszy obrazy to smutne to wesołe, to groźne, to napawające błogim spokojem. Jestto rodzaj reflexów, prowadzących (drogą odwrotną) od skutków do przyczyn.

Pitagoras stworzył pomnikowe dzieło swoją teorją tonów. Prawa interwału gammy muzycznej, czyli pochodu tonów i ich logiki, może z czasem dadzą się zastosować w optyce do linii i kolorów. Pracę tę rozpoczął Helmholc i pośrednio stworzył szkołę w plastyce, która niestety, poszła zadaleko w swych pretensjach, bo chce zastąpić w muzyce natchnienie formułkami mechanicznemi. Wróćmy do Pitagorasa. Imponującym jest dla umysłu ludzkiego ów jego διά-πασῶν (nastrój ogólny natury), którego szukał na firmamencie niebieskim. Oto są niektóre twierdzenia Pitagorasa, według Aristotelesa*). Odległość księżyca od ziemi określa on jako ton cały: od Merkurego do księżyca jest pół tonu... od Wenery do słońca półtora tonu... i t. d. Mamy tedy gammę siedmiu tonów, którą Pitagoras nazywa διά-πασῶν. Saturn w swoim ruchu wykonywa melodję dorycką, Jowisz frygijską**). Według P., wszechświat zapełnia boska muzyka, pochodząca od ruchu ciał niebieskich. Kolosalna hypoteza, więcej może poetyczna, jak ściśle naukowa. Dreszczem przejmuje ona dziś jeszcze duszę poety! „Kto ma uszy do słuchania", ten słyszy tę muzykę, kiedy umilknie gwar życia powszedniego. Z wyżyn, gdzie niedochodzi ostry gwizd lokomobili, zgrzyt kół społecznej maszyny i chaotyczne chóry nędzy ludzkiej, duch poety rozpływa się w tonach wielkiej dekady.

Dziś może trudniej naszym uszom dosłyszeć tej boskiej muzyki, jak wśród księżycowych nocy w Pireus i na brzegach Sycylji, wśród ciepłych nocy, przerywanych tylko szeptem fosforycznej fali, ginącej na płaskim brzegu zatoki: tam Diana, Kastor i Pollux czuwali nad uśpioną ziemią. Akord ten niebieski tkwi od niepamiętnych czasów w duszy ludzkiej. W tej koncepcyi Pitagorasa jest prawda, którą i nasz umysł XX wieku, dźwigający brzemię nauk ścisłych, jest w stanie pogodzić z akustyką, fizyką i anatomją: płaczemy, śmiejemy się według „interwału" Pitagorasa. Każdy jęk, każdy okrzyk radości, zostawiają w mózgu i nerwach obraz nacechowany odpowiednim interwałem gammy majorowej, albo minorowej. Te obrazy są to: zgłoski, syllaby wzięte z abecadła natury. Grupują się one w wyrazy muzyczne, melodje, a zapłodnione wyższem poczuciem formy, tworzą oratorja, sonety, epopeje muzyczne, do których każdy w swej duszy

*) Aristoteles. De coelo II. 0. §. 1.
**) Pawlicki. Hist. Filoz.

dopasowuje szeregi myśli, wzięte z życia powszedniego, lub ze świata wyobraźni. Tu bajka jest w dźwiękach, z nich wyobraźnia wysnuwa obrazy, dorabia słowa i akcję. A obrazy te są czyste, nie zamącone banalnością prozy.

Dramat.

W dramacie illuzja jest niejako u szczytu swojej twórczości. Tu wszystkie dziewięć Muz są na usługi dramaturga.

Zadanie poety dramaturga, jest pierwszorzędnej trudności; musi on w przeciągu paru godzin trwania produkcji scenicznej na deskach teatralnych przeprowadzić to, co się dziać powinno w obrębie niepomiernie dłuższego czasu. Z drzewa sklecone baraki, rusztowania i płótna dekoracyjne, przy dobrej chęci widza, wystarczą, ażeby przenieść go w danej chwili tam, gdzie go chce poeta zawieść. Jak różczką czarodziejską wywołane, stają przed nami pyszne pałace, cieniste ogrody, ciemne bory; szumi morze, piętrzą się skały... a wszystko to jest dziełem dekoratora i mechanika, wspólnika autorskiej mistyfikacji, przy pomocy podatnej wyobraźni widza. Muzyka i rytm mowy wiązanej, wprawiają myśl w stan extazy; żyjemy w świecie zmyślonym, w dalekiej przeszłości, albo na Olimpie, to na dzikich skałach Szkocji... w podziemiach Chilon'u, zwabieni tam przez Sofoklesa, czy Szekspira. Odczuwamy boleść i obrażoną dumę Marji Stuart, drżymy na widok strasznej próby ojcowskiej miłości Wilhelma Tella, postawionej w kolizji z miłością ojczyzny, kochamy Desdemonę i odczuwamy bezdenne przepaście hamletowskiego rozczarowania. A jednak to wszystko jest bajką, złudzeniem jednej chwili; cały ten świat urojony znika z opadnięciem kurtyny.

(Dok. nast.).

EDGARD ALLAN POE.

KRÓL ZARAZA.

Opowiadanie zawierające alegorję.

W chłodną noc październikową, za rycerskiego panowania króla Edwarda III., dwaj marynarze należący do załogi Free and-Easy, handlowego dwumasztowca pełniącego służbę między śluzą Belgijską a Tamizą, znaleźli się z wielkiem swem zdziwieniem w gospodzie londyńskiej przy parafji św. Andrzeja. Nad drzwiami tej gospody wymalowany był jako godło:

WESOŁY WILK MORSKI.

Izba niska, poczerniała od dymu, źle zbudowana, podobna była do innych ówczesnych oberży, w oczach jednak rozsiadłych w niej tu i ówdzie gości, oddających się z zapałem pochłanianiu gorących napojów, uchodziła za przybytek zupełnie odpowiedni swemu przeznaczeniu.

Wśród gości zaś, najbardziej chyba interesującymi byli nasi dwaj marynarze. Wyższy i prawdopodobnie starszy z nich, nosił charakterystyczne imię Legs (nogi): wysoki był na $6^1/_2$ stóp i trzymał się pochyło, co było naturalnym wynikiem tak olbrzymiego wzrostu. Ile jednak wybujałym był na wysokość, tyle właśnie brakowało mu w innych wymiarach; był bowiem nad wszelki wyraz chudy. Koledzy jego twierdzili, że będąc pijanym, może on wybornie zastąpić chorągiewkę masztową, w stanie zaś trzeźwym, trójkątny żagiel; te jednak i tym podobne żarciki nie wywierały na nim najmniejszego wrażenia. Twarz jego, lubo nacechowana wyrazem jakby gburowatej obojętności, robiła wrażenie niezmiernie uroczyste i poważne. Składały się na to wystające kości policzkowe, wielki orli nos, oczy niebieskie ogromne i wypukłe, broda w tył cofnięta i dolna szczęka jakby wgnieciona.

Młodszy majtek stanowił najdoskonalszy kontrast ze swym towarzyszem. Na krzywych i przysadkowatych nogach, spoczywał tułów nader gruby i krępy, po bokach nakształt skrzeli żółwia morskiego, wisiały dwie krótkie i niezmiernie grube ręce, zakończone niesłychanej wielkości pięściami. Maleńkie nieokreślonego koloru oczki, głęboko osadzone, błyszczały jak dwa punkciki. Nos miał literalnie zagrzebany w tłustych mięsistych policzkach, twarz okrągłą i czerwoną. Warga górna spoczywała z wdziękiem na dolnej, nadając twarzy jego wyraz niesłychanego z siebie zadowolenia, do czego przyczyniało się jeszcze przyzwyczajenie, jakie miał, oblizywania się od czasu do czasu.

Na towarzysza swojego spoglądał z wyrazem, w którym zachwyt mieszał się z odrobiną ironji, a gdy twarz swą błyszczącą zwracał wprost ku niemu, wyglądał jak purpurowa kula słoneczna, gdy przed swym zachodem oświeca skały Ben-Nevisu.

Godna para odbyła w pierwszych godzinach nocy istną pielgrzymkę po sąsiednich oberżach, zanim wyczerpawszy swoje fundusze, (gdyż i najobfitsze kapitały wyczerpać się ostatecznie muszą), przekroczyła progi wyżej opisanej gospody.

W chwili, gdy zaczyna się nasze opowiadanie, Legs i towarzysz jeho Hugo Tarpolin, siedzieli pośrodku izby z łokciami wspartymi na dębowym stole, i z twarzą ukrytą w dłoniach, a z poza olbrzymiej lecz niezapłaconej flaszki hummingstuff, przyglądali się zpod oka widniejącemu nad szynkwasem napisowi: „Tu niema krydy"!

Nie bez zdziwienia i oburzenia, wpatrywali się w litery bezczelnie białą kredą nakreślone, nie rozumiejąc, dlaczego kryda owa ośmielała się zapowiadać swą nieobecność; sztuka bowiem odczytywania pisanych znaków, uważana w owych czasach za trocha mniej kabalistyczną, niż umiejętność kreślenia tychże, nie była całkiem obcą naszym marynarzom. Trzeba jednak przyznać, że litery nie zupełnie jasno rysowały się przed ich wzrokiem, a nawet rozpoczynały już jakiś oryginalny i zawiły taniec, skąd doszli oni do przekonania, iż to jest zapowiedzią brzydkiego kiego wstrząśnienia i paskudnej pogody. To też Legs zauważył w żeglarskiej upiększonej metaforami przemowie, że należałoby czuwać nad pompami, ściągnąć żagle i zmykać przed burzą. Wypróżniwszy więc do reszty butelczynę i pozapinawszy krótkie swe marynarskie kurteczki, rozpędzili się dwaj koledzy ku wyjściu: wprawdzie Tarpolin dwa razy zapuścił się w komin, biorąc go za drzwi, wychodzące na ulicę, ale ostatecznie udało się im wymknąć bez przeszkody. W kilka chwil potem zdążali raźnym krokiem przez ciemną uliczkę, prowadzącą ku schodom św. Andrzeja, namiętnie ścigani przez rozżaloną na nich gospodynię w oberży pod „Wilkiem morskim".

W owej epoce przed i po naszem opowiadaniu rozlegał się perjodycznie w starej Anglji, a zwłaszcza w jej stolicy, posępny okrzyk „zaraza!"

Londyn był na wpół wyludniony, a w ohydnych dzielnicach położonych nad Tamizą, w krętych, brudnych i cuchnących uliczkach, przemieszkiwał stale demon zarazy, a nawet przypuszczano, że tam jest jego kolebka; to też przerażenie, groza i ciemny zabobon rozpierały się w nich wszechmocnie, i panowały bez podziału.

Z rozkazu króla dzielnice owe były zamknięte, i pod karą śmierci niewolno było nikomu zapuszczać się w te dzikie pustkowia.

Ani jednak zakaz królewski, ani olbrzymie przegrody wzniesione u wejścia zarażonych ulic, ani perspektywa ohydnej śmierci, grożącej temu niechybnie, zoby się tam ośmielił zapuścić, nie zrażały zdecydowanych na wszystko nędzarzy; i rabusie nocni ogałacali wyludnione i puste mieszkanie z kluczów, zamków, kawałków żelaztwa, porzuconych rupieci, wszystkiego co jakąkolwiek przedstawiało wartość. Z początkiem każdej zimy, gdy znoszono przegrody, można się było dowodnie przekonać, że żadne rygle, zasuwy i najgłębsze nawet piwnice nie zabezpieczały dostatecznie zapasów win i likierów pozostawionych tam przez kupców w piwnicach i sklepach, w czasie przymusowego wygnania.

Ludność jednak pod wpływem zabobonnego strachu przypisywała te kradzieże istotom nadprzyrodzonym, duchom gorączki lub demonom zarazy, prawdziwym zdaniem ich sprawcom klęski; a stąd powstawało mnóstwo przerażających, ścinających krew w żyłach opowiadań, które owijały całą wyklętą dzielnicę, jakby całunem grozy; tak, że w końcu rabusie sami ulegali przesądnej trwodze, wywołanej własnymi wybrokami i unikali częstokroć tych miejsc wyklętych, pozostawiając je na pastwę ciemności, milczenia i śmierci.

Otóż Legs i Hugo Tarpolin natknęli się uciekając, na jedną właśnie z powyżej opisanych przegród. Pogoń mieli tuż za sobą, a podnieceni obawą i trunkiem, przesadzili szybko i bez namysłu napotkaną przeszkodę, co dla wyćwiczonych w swem rzemiośle majtków, było wprost dziecinną igraszką, a znalazłszy się po drugiej stronie puścili się dalej pędem, wydając przeraźliwe okrzyki i wycia, i zbłądzili wkrótce w ciemnych i cuchnących zakrętach.

Gdyby niebyli tak do nieprzytomności pijani i mieli możność rozpatrzenia się w położeniu, stanęliby niechybnie ubezwładnieni przestrachem. Powietrze było zimne i mgliste, a stopy ich zanurzały się po kostki w wilgotnej trawie i chwastach zarastających bezludne ulice. Płyty kamienne i bruki wykopane leżały na drodze Domy w gruzy rozsypane zagradzały co chwila przejście, a ponadtem wszystkiem unosiły się smrodliwe i jadowite miazmy; przy bladem zaś fosforycznem oświetleniu wywiązującem się zwykle w zgniłej i zgęszczonej atmosferze, dostrzedz można było wyraźnie na ulicach i uliczkach lub w domach pozbawionych okien, trupy rozkładające się nocnych rabusiów, wstrzymanych nagle wśród wykonywania swych rycerskich czynów nieubłaganą ręką zarazy.

Nie takie jednak obrazy, wrażenia i przeszkody odstraszyćby mogły tych ludzi z natury dzielnych, a dziś niezwykłą napełnieni odwagą, dzięki użyciu hummingstuff, stoczyli by się dziś bez wahania w samą paszczę śmierci.

To też biegli nieustannie naprzód. Posępny Legs wydawał co chwila z siebie ryki przypominające okrzyki wojenne dzikich Indjan, którym wtórowały rozgłośne echa pustkowia. Krępy zaś Tarpolin uchwyciwszy mocno swego towarzysza za kurtkę z tyłu, nie dawał mu się wcale prześcignąć, a nawet przewyższał go w wokalnych popisach, wydając przeciągłe basowe wycia z głębokości stentorowych płuc.

W ten sposób dobiegli do najbardziej zadżumionych miejscowości, potykając się co krok; powietrze stawało się coraz smrodliwsze, ulice coraz węższe i bardziej kręte. Olbrzymie kamienie i belki spadały z nadgniłych dachów, świadcząc przeraźliwym łoskotem o nadmiernej wysokości domów, z których wierzchołka zlatywały, a gdy przychodziło majtkom torować sobie przejście wśród gruzów, palce ich natrafiały nieraz na kości szkieletów, lub zanurzały się w rozkładające się ciała trupów.

Nagle wpadli na olbrzymi, posępnie wyglądający gmach, a gdy Legs potknąwszy się na jego progu, wrzasnął ostrzej, przeraźliwiej jeszcze jak zazwyczaj, na krzyk jego odpowiedziały szybko, raptownie raz po raz głosy jakieś dzikie, straszne, jakby szatańskie chichoty. Nie przerażeni wcale odgłosami, na które ludzie mniej odurzeni alkoholem, uczuliby niezawodnie dreszcz zgrozy, wysadzili oni drzwi i wpadli do środka, miotając doborowe przekleństwa.



WIDOK NA KRAKÓW Z WIEŻY MARJACKIEJ.

Sala, w której się znaleźli, był to dawniejszy magazyn przedsiębiorcy pogrzebowego. W kącie jej otwarte były płaskie drzwi w podłodze, prowadzące do amfilady piwnic, prawdopodobnie doskonale zaopatrzonych, jak o tem świadczył brzęk stłuczonych flaszek. Pośrodku sali stał ogromny stół, pośrodku zaś stołu olbrzymia waza ponczu. Butelki z winem i likierami jak również najrozmaitsze dzbanki, flakony i garnki porozrzucane były na stole w wielkiej obfitości, a naokoło na pogrzebowych kozłach, czarnem suknem przykrytych, siedziało sześć osób, których powierzchowność postaram się opisać szczegółowo:

Naprzeciw drzwi wchodowych, wyżej od innych biesiadników, siedziała osobistość, jak się zdawało, prezydująca uczcie. Postać to była wysoka, chuda, sama skóra i kości, a Legs widząc ją, przekonał się z osłupieniem, iż zdarza mu się napotkać istotę o wiele chudszą od siebie. Twarz tego człowieka powleczona szafranową żółtością — o rysach dość pospolitych, odznaczała się tylko czołem tak niepomiernie, tak ohydnie wysokiem, iż robiło ono wrażenie czapki lub tjary zrobionej z ciała ludzkiego i nałożonej na głowę. Usta wykrzywiały się w jakiś upiorny niby dobrotliwy uśmiech, a oczy; jak zresztą i u innych biesiadników, błyszczały osobliwszym mętnym połyskiem, właściwym ludziom znajdującym się pod wpływem alkoholicznych oparów. Dżentelmen ten przyodziany był w czarny, aksamitny płaszcz bogato haftowany, na głowie zaś jego powiewały czarne kity karawaniarzy. Głowę tę kołysał on nieustannie z niesłychaną elegancją, a w ręku trzymał wielką ludzką kość udową, którą dotknął właśnie jednego z członków biesiady, żądając odeń zaśpiewania wesołej piosenki.

Naprzeciw niego odwrócona plecami do drzwi siedziała dama o fizjognomji nieustępującej w niczem swemu vis-a-vis; równie wysoka jak powyżej opisane indywiduum, nie mogła się jednak uskarżać na zbytnie wychudzenie, zdawała się być raczej w ostatnim stopniu wodnej puchliny, a figura jej niezmiernie przypominała ogromną beczkę piwa stojącą w kącie tejże sali.

Twarz jej nadzwyczaj tłusta, okrągła i czerwona, posiadała również jak poprzednia, pewną osobliwość, zwracającą na nią uwagę patrzącego, przy dość pospolitych rysach.

Bystry Hugo Tarpolin zauważył odrazu, że wspólną cechą wszystkich biesiadników było, iż każdy z nich miał jakiś specjalnie rozwinięty rys twarzy, sobie tylko właściwy. Dama więc owa, miała olbrzymie usta, przecięte literalnie od prawego do lewego ucha, a otwierające się jak otchłań bezdenna. Krótkie kółczyki wiszące w jej uszach, wpadały co chwila w tę przepaść, mimo. że dama usiłowała ust nie otwierać i sznurowała je, chcąc nadać swej twarzy wyraz pełen godności. Owinięta była aż po brodę w całun świeżo nakrochmalony i wyprasowany, a u szyi miała batystowy kołnierzyk.

Po prawej ręce grubej Pani, siedziała młodziutka, delikatna osóbka, bardzo drobna, jakby powierzona jej pieczy. Drżące jej palce, sino blade usta, ceglaste na policzkach rumieńce, i ołowiana cera, znamionowały wyraźnie, iż delikatne to stworzenie, musi być w ostatniem stadjum galopujących suchot; wszelako cała jej postać nacechowana była nadzwyczajną wytwornością i dystynkcją, a suty piękny całun z cienkiego indyjskiego muślinu, drapował ją malowniczo i z wdziękiem: włosy w puklach opadały jej na ramiona, a słodki uśmiech rozchylił usta, zato nos niezmiernie długi, cienki, giętki i pryszczowaty, zwisał po niżej dolnej wargi, a niezwykła ta trąba, poruszana niekiedy przez nią i przesuwana zapomocą języka, nadawała tej twarzy wyraz cokolwiek dwuznaczny.

Po lewej ręce Damy cierpiącej na wodną puchlinę, siedział mały człowieczek nabrzmiały, astmatyczny, chory na podagrę; policzki miał olbrzymie, a spoczywały one na jego ramionach, jakby dwie ogromne skórzane banie, napełnione winem Oporto — ręce trzymał skrzyżowane na piersiach, jedną nogę obandażowaną oparł na stole i robił wrażenie człowieka wymagającego od otoczenia zewnętrznych oznak szacunku, zdawał się być nadzwyczaj dumnym z każdego cala swej ziemskiej powłoki, a przedewszystkiem pysznił się widocznie jaskrawym swym i bijącym w oczy strojem, który musiał go nie wiele kosztować, a ubierał go znakomicie. Za strój ten służył mu jedwabny, osobliwie haftowany pokrowiec, taki, jakimi przykrywają w Anglji tarcze herbowe, przybite nad drzwiami domów, chcąc je ochronić od kurzu na czas wyjazdu mieszkańców.

Obok niego po prawej ręce prezesa uczty, siedział gentleman w białych pończochach i bawełnianych spodniach. Jegomość ten wstrząsany był co chwila gwałtownem, drganiem nerwowem mianowanem dowcipnie przez Tarpylina, dreszczem opilstwa. Szczęki jego świeżo wygolone, obwiązane były mocno muślinowym bandażem a także i ręce w kostkach, co utrudniało mu bardzo chwytanie ze stołu kieliszków i flaszek z likierami. Legs zawyrokował w duchu, iż ostrożność ta musiała być niezbędną wobec zezwierzęciałej gutaperkowej twarzy gentlemana, przypominającej smoczek dziecinny. Natomiast nie uwiązane niczem, sterczały w przestrzeń niesłychanych rozmiarów uszy, wstrząsane od czasu do czasu spazmatycznem drganiem na odgłos każdej nowoodkorkowanej butelki.

Szósty i ostatni biesiadnik, wyglądał nadzwyczaj sztywnie, gdyż ciało miał sparaliżowane; ubranie jego cokolwiek było niewygodne, ale oryginalne i można dodać, jedyne w swoim rodzaju. Stanowiła je mianowicie ni mniej ni więcej tylko piękna, mahoniowa nowiutka trumna. Wierzchnia nakrywa sterczała nad głową jego jak przyłbica, obramowując mu twarz jak kapiszonem i ocieniając ją w sposób wielce interesujący. Do stroju tego dodany był rodzaj rękawów tak dla elegancji jak i dla wygody. Nie mógł jednak nieszczęsny siedzieć jak inni biesiadnicy, leżał więc na wpół na swojem siedzeniu pod kątem 45° i błyskał ku sufitowi wypukłemi białkami oczu, jakby zdziwionych niesłychanym swym ogromem.

Przed każdym biesiadnikiem stała zamiast czary ludzka czaszka, pośrodku zaś sufitu umocowany był na haku ludzki szkielet, którego jedna noga przywiązana była sznurkiem, druga zaś kołysała się swobodnie, zwłaszcza pod wpływem przeciągu wiatru wpadającego niekiedy do sali. Węgiel rozżarzony płonący w czaszce szkieletu, stanowił jakby rodzaj ohydnej lampy przyświecającej mglistem i martwem światłem tej wyjątkowej uczcie, stosy zaś trumien ustawionych jedna na drugiej ubierały naokoło ściany biesiadnej sali.

Na widok zgromadzenia tak niezwyczajnego i tak niezwykle przystrojonego, marynarze nasi zachowali należne decorum, czego zresztą można się było po nich spodziewać. A mianowicie Legs oparłszy się plecami o ścianę, opuścił dolną szczękę niżej jeszcze jak zazwyczaj, a oczy swe szeroko rozcięte, rozwarł jak mógł najszerzej, Hugo zaś Tarposin pochyliwszy się tak nisko, iż nos jego znalazł się na równym poziomie ze stołem, i oparłszy ręce na kolanach, wybuchnął rozgłośnym, niepomiarkowanym, nieprzyzwoitym śmiechem, który zabrzmiał w sali ogłuszającem przeciągłem echem.

Prezydent uczty nieurażony bynajmniej tak gburowatem znalezieniem się, uśmiechnął się łaskawie do naszych przybyszów, skinął im głową z godnością, chwiejąc przy tem czarnemi piórami, a nawet powstawszy z siedzenia, ujął ich pod rękę i posadził przy stole na przygotowanych na prędce dla nich miejscach. Legs dał się posadzić bez oporu, wykwintny zaś Hugo uniosłszy ponad głowę przeznaczony dla siebie stołek, postawił go obok malutkiej suchotnicy, a nalawszy sobie pełną czaszkę czerwonego wina, wychylił je na cześć nowo zabranej znajomości. Ta zuchwała galanterja niepodobała się wcale gentlemanowi w trumnie, i pociągnęłaby zapewne za sobą poważne skutki, gdyby nie prezydujący. Ten udrzył w stół berłem, by zwrócić na siebie uwagę i zaczął przemowę.

„Szczęśliwy jestem, iż okoliczności wkladają na mnie obowiązek"...

— Poczekajno! przerwał poważnie Legs, poczekaj chwilę, i powiedz nam pierwej, kim u kaduka jesteście, i co tu robicie poprzebierani jak djabły paskudne, w zakładzie przyjaciela naszego Willa Wimble, przedsiębiorcy pogrzebowego. Dlaczego wreszcie pozwoliliście sobie korzystać z jego rozgrzewających kiszki zapasów, nagromadzonych tu na zimę.

Przemówienie to świadczące tak niekorzystnie o manierach i wychowaniu gościa, wzbudziło wielkie nieukontentowanie wśród zadziwiających biesiadników. Podnieśli się więc z siedzeń do połowy i wydali szereg ostrych niemal szatańskich okrzyków, brzmiących podobnie jak te, co sprowadziły w to miejsce naszych marynarzy.

Pierwszy prezes odzyskał zimną krew, a zwracając się do Legsa, powiedział z godnością: Z przyjemnością uczynimy zadość, słusznej ciekawości naszych gości równie znakomitych jak niespodziewanych. Otóż dowiedzcie się, że jestem królem tego mocarstwa i że panuję tu nieograniczenie pod mianem:

KRÓLA ZARAZY I-go.

Sala zaś, którą splamiłeś obelżywą nazwą magazynu Willa Wimble przedsiębiorcy pogrzebowego, człowieka nieznanego nam, i którego plebejskie nazwisko poraz pierwszy tej nocy nikczemnem swem brzmieniem obraziło nasze uszy królewskie; sala ta powtarzam jest salą tronową naszego pałacu. W niej to odbywają się narady nad dobrem państwa, jak również inne obrządki tajemnicze i uroczyste.

Szlachetna dama, siedząca naprzeciw nas, to małżonka nasza Najjaśniejsza Królowa Zaraza. Inne zaś znakomite osoby siedzące przy tym stole, należą także do naszej rodziny i noszą imiona świadczące o królewskiem ich pochodzeniu: Jego wysokość Książę Zarażony, tu, Jego światłość Książę Zarażający i Jej wysokość Księżna Anna Zaraza.

Co się zaś tyczy ciekawości waszej, jakiego rodzaju sprawy załatwiamy na tem miejscu, to jakkolwiek mógłbym wam odpowiedzieć, że są one natury ściśle prywatnej i tem samem dla nas tylko ciekawe, uwzględniając jednak stanowisko wasze, gości i cudzoziemców, raczymy udzielić wam objaśnień, iż zgromadziliśmy się tutaj celem przeprowadzenia starannych, drobiazgowych i głębokich poszukiwań, celem analizowania, zbadania i określenia stanowczo, nieuchwytnego, niezbadanego ducha nieoszacowanych i drogocennych właściwości, nagromadzonych w naszej stolicy skarbów, to jest: win likierów i innych szlachetnych trunków jakie tu dostrzegacie.

Działając zaś w ten sposób, pragniemy przyczynić pożytku i sławy monarsze, który nie jest z tego świata, którego państwa nieścieśniają żadne granice a którego imię jest: „Śmierć“.

— Którego imię jest Dawy Jones przdrwał Tarpolin, nalewając swej sąsiadce czaszkę likieru, a drugą sam wychylając.

— „Nikczemny łajdaku! rzekł prezes, zwracając się do godnego Huga“. Powiedzieliśmy wprawdzie, że przez wzgląd na prawa gościnności, których gwałcić nie mamy zamiaru, nawet w twej plugawej osobie, raczymy odpowiadać na twe niewczesne i grubijańskie zapytania. Gdy jednak sprofanowałeś naradę naszą bezprawnem wtrąceniem ograniczonego twego zdania, widzimy się zmuszeni skazać ciebie i twego towarzysza na wychylenie po gallonie Black-Strap, który to toast spełnić musicie na klęczkach, na cześć i pomyślność naszego królestwa i to jednym tchem. Co gdy uczynicie, wolno wam będzie udać się w dalszą drogę, lub też korzystając z zastawionej tu biesiady, pozostać w naszem towarzystwie“

„Jest to rzecz niemożliwa, odparł Legs powstawszy i oparłszy rękę na stole; majestatyczny bowiem ton i zachowanie się pełne godności Króla Zarazy, wyraźnie mu zaimponowały.

(Dok. nast.).

Nasze ilustracye.

Dajemy dzisiaj portret, znanej na całym świecie uwielbianej artystki, Heleny Modrzejewskiej, której bliskie występy w Krakowie, poruszyły żywo wszystkie sfery artystyczne naszego miasta.

Druga rycina przedstawia widok na Kraków z wieży Marjackiej. Wspaniale wyglądają Sukiennice i wieża ratuszowa, w otoczeniu pięknych pałaców na rynku, stanowiącego jeden z najpiękniejszych rynków w Europie. Dalej widzimy całe morza domów, z których wychylają się dachy kościołów, naszego piastowskiego grodu. Na ostatnim planie wreszcie, rysuje się na horyzoncie pośród pól zielonych, nasza najserdeczniejsza pamiątka narodowa, kopiec Kościuszki.

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu“. W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.